

KS. FRANCISZEK KOSTRZEWA

WSPOMNIENIA KOLEGI Z ŁAWY SZKOLNEJ

Jestem kolegą szkolnym ks. Władysława Piwowarskiego. Uczęszczaliśmy razem do tego samego liceum w Brzesku, z tym że on rozpoczął naukę w 1945 r. od klasy drugiej, bo pierwszą przerobił konspiracyjnie, a ja od klasy pierwszej. Potem przerobiłem dwie klasy w jednym roku szkolnym i tak w liceum byliśmy już razem w tej samej klasie.

W nauce zbytnio się nie wyróżniał i nic nie wskazywało na późniejsze jego osiągnięcia naukowe. Oceny miał przeciętne. Myślę, że było to spowodowane m.in. ciężkimi warunkami domowymi. W lecie dojeżdżał do szkoły rowerem, a w zimie mieszkał na stacji w naszym domu. A z odżywianiem się też było różnie. Nieraz kromka chleba była jego całodziennym posiłkiem.

Młodzież w liceum dzieliła się wówczas na trzy grupy: miejscowi, młodzież internacka i dojeżdżająca. Ta ostatnia miała najmniej korzystne warunki do nauki. I do niej należał też Władek.

Był bardzo pracowity, uczył się wytrwale. Nie pamiętam, żeby oprócz nauki zajmował się czymś innym. Wyjątkiem była tylko orkiestra gimnazjalna. Tu się wyżywał. Wspominał kiedyś jeden z naszych kolegów, że Władek wodził prym w orkiestrze. Grał na klarncie i miewał czasem solowe występy w orkiestrze browaru okocimskiego, której instruktorzy współpracowali z naszą orkiestrą i szkolili jej członków. To było wszystko, na co stać było wtedy Władka, chłopca o średnich zdolnościach, borykającego się z trudnymi warunkami życia w pierwszych latach powojennych. Od klarncisty w szkolnej orkiestrze do profesora wyższej uczelni droga była bardzo daleka i trudna, a jednak Władek ją pokonał. Dlatego, myśląc o nim, ciągle przypominam sobie to powiedzenie, że do sukcesu niezbędne są trzy rzeczy: praca, praca i jeszcze raz praca, że wystarczy jeden procent talentu, ale trzeba dołożyć do

niego 99 procent wytrwałej pracowitości. A tej Władkowi nie brakowało. Dlatego jest on dla mnie klasycznym przykładem tej zasady.

W liceum nie mówiło się o prawdziwych zamiarach na przyszłość, zwłaszcza gdy dotyczyły takich spraw jak seminarium i powołanie kapłańskie. Byłoby to ryzykowne i mogłoby ściągnąć kłopoty przy maturze. Jeżeli chodzi o „pójście na księdza”, to bardziej podejrzewano mnie niż Władka. Tego się po nim nikt nie spodziewał. I ja też nie. Dlatego miłym zaskoczeniem było, gdy go zobaczyłem w seminarium. Rażniej nam było razem. Poczuliśmy się nawet bliżej siebie niż w liceum.

Życie w seminarium było wtedy inne niż obecnie. Warunki mieszkaniowe o wiele trudniejsze, jedzenie uboższe i nie zawsze smaczne, a przyszłość przedstawiała się niewesoło. Do dziś pamiętam jęki ludzi katowanych w Urzędzie Bezpieczeństwa znajdującym się w budynku przy sąsiedniej ulicy. Okna tego budynku, za którymi znajdowały się sale przesłuchań, wychodziły na seminarium. Do późnych godzin nocnych paliło się tam światło i słychać było głuchoe odgłosy uderzeń i krzyki przesłuchiwanym osobom. Tak nowa władza rozprawiała się z „wrogami ludu”. A przecież my, kandydaci do kapłaństwa, z pewnością nie należeliśmy do jej zwolenników. I władza o tym dobrze wiedziała. Przełożeni też nie robili złudzeń. Pamiętali wojenne represje, kilku miało za sobą więzienia i obozy, a niektórzy nawet byli w tym czasie aresztowani. Ale to wszystko nie osłabiało naszego ducha, choć wielu odeszło.

Władek był mocnym człowiekiem. Nie zrażały go trudności. Nie bał się jutra. Uczył się pilnie, egzaminy zdawał na bieżąco i nie miał zaległości. Do nauki wykorzystywał każdą chwilę. Nie tylko czas przeznaczony na studium, ale również inne okazje. Ciągłe się czegoś uczył. Chciał nauczyć się gry na pianinie, ale instrumentów było mało, a chętnych wielu. Nie dopchał się, więc zaczął się uczyć pisania na maszynie. To się bardzo przydało przy przepisywaniu skryptów (nikomu się wtedy nie śniło o kserowaniu – byliśmy dopiero na etapie powielaczy spirytusowych, a i one wkrótce zostały skonfiskowane). Uczył się też języka niemieckiego. Nie było wtedy u nas lektoratów z języków nowożytnych, więc uczył się sam i przy różnych okazjach, na przykład na przechadzce, wbijał w pamięć słówka niemieckie.

Tak było przez cztery lata. Potem przyszedł rok piąty, ostatni i przykra niespodzianka – Władek wziął papiery i wyjechał. Było to dla nas kompletnym zaskoczeniem. Przyczyn nie podano, a i on sam nie był skory do zwierzeń. Wiem, że przeżył to bardzo głęboko. Do końca nosił w sercu jakąś zadrę z tamtych czasów.

Wrócił do Bucza, swojej wioski rodzinnej. Wstydził się pokazywać w Brzesku. Raz spotkała go przypadkowo moja siostra, kiedy przyjechał rowerem do miasta. Chciał uniknąć tego spotkania, bo nie było mu na rękę. Zatrzymał się jednak i pogadali chwilę z sobą. Przecież dobrze się znali z lat gimnazjalnych. Chyba mu to pomogło. Jakoś przetrwał to wszystko, nie załamano się. Poszedł do Lublina, dokończył studia, a potem w seminarium olsztyńskim przygotował się do kapłaństwa. Cztery lata po moich święceniach i on został księdzem.

Rzadko się w tym okresie z nim spotykałem. Słyszałem tylko, że nie zrezygnował z dalszych studiów, nie poprzestał na magisterium. Gdy spotkałem się z nim na zjeździe koleżeńskim w Brzesku w 1970 r. (dwadzieścia jeden lat po maturze) był już wtedy doktorem filozofii i docentem socjologii religii. Mówił o swoich osiągnięciach. Patrzyliśmy na niego z uznaniem. Zaimponował nam. Potem był jeszcze dwa razy na kolejnych zjazdach, aż wreszcie przestał przyjeżdżać. Porwał go wir pracy naukowej. Usprawiedliwiał nieobecność pilnymi wyjazdami lub zajęciami na uczelni.

Jeszcze w czasach olsztyńskich zaprzyjaźnił się z moją drugą siostrą, która mieszkała w Olsztynie. Pomagała mu, gdy duszpasterzował w tamtych stronach. O gospodynię było trudno, a obiad odpustowy lub jakieś inne przyjęcie trzeba było urządzić. Gdy odwiedzałem siostrę w Olsztynie, opowiadała mi, jak to wraz z mężem i dziećmi przyjeżdżała wtedy do Władka i wspólnie gospodarzyli. Potem przeniósł się do Lublina i to się skończyło. Ale pozostał kontakt listowy, rzadkie odwiedziny, przy okazji jak zaglądał do Olsztyna, i wspomnienia. Z okazji 60. urodzin ofiarował mi kiedyś Księgę Pamiątkową z dedykacją wspominającą tamte czasy i dołączył szczególne pozdrowienia dla moich sióstr, które w pewnych momentach jego życia przyszły mu z pomocą.

Dziś, gdy myślę o nim, to wydaje mi się, że miał trzy rzadko obecnie spotykane cechy charakteru, a już bardzo rzadko występujące razem: umiał chcieć, wiedział, czego chciał, i potrafił w tym „chcieniu” wytrwać. Widziałem to w latach gimnazjalnych i studiów seminaryjnych. A potem, gdy słyszałem o jego osiągnięciach naukowych i dydaktycznych, gdy czytałem jego publikacje, wiedziałem, że nie utracił tych zalet, że one mu w dalszym ciągu towarzyszyły i tworzyły jego osobowość.